

Jan Rokita: Wojna prewencyjna

Donald Trump stoi w obliczu najpoważniejszego jak do tej pory dylematu swej drugiej prezydentury. Źródłem tego dylematu jest zasadnicze spłycenie i uproszczenie prawdziwego amerykańskiego kłopotu z wszelakimi wojnami, jakiego sam Trump dokonał w toku swoich wieloletnich kampanii propagandowych, które wyniosły go najpierw do roli lidera prawicy, a potem prezydenta USA.

Izrael nie osiągnie samodzielnie celów wojny prewencyjnej, którą wypowiedział Iranowi. Podpowiada to zarówno zdroworozsądkowa polityczna intuicja, jak i oceny formułowane przez znawców produkcji broni jądrowej. Co prawda, bieg wojny unaoczniał absolutną przewagę militarną armii żydowskiej, której dowodami są spektakularne zabójstwa kluczowych dowódców perskich oraz praktyczna likwidacja perskiej obrony powietrznej w ciągu pierwszych trzech dni wojny. Zarówno sam Benjamin Netanjahu, jak i jego prawicowi partnerzy w koalicji rządowej, manifestują w związku z tym pewność siebie i wojenny optymizm, czemu w końcu trudno się dziwić. Mówią z triumfem: „Droga do Teheranu dla naszych samolotów jest już otwarta”. Ale przecież żadna wojna prewencyjna nie ma na celu ani zniszczenia przeciwnika, ani tym bardziej jego upokorzenia. Przeciwnie. W wojnie prewencyjnej idzie o to, aby minimalizując – na ile to tylko możliwe – upokorzenie, wściekłość i idące w ślad za nimi pragnienie odwetu ze strony przeciwnika, osiągnąć tylko jedno: sparaliżować jego pierwotne agresywne zamiary. Zneutralizować

groźnego i potencjalnie ofensywnego agresora, tak by on sam doszedł do przekonania, iż musi co najmniej na długi czas porzucić swe plany ataku.

W historii Europy to Anglicy byli specjalistami od efektywnych wojen prewencyjnych. Zawsze chodziło w nich o to samo: uniemożliwienie hipotetycznej inwazji na Wyspy Brytyjskie. Kiedy w 1801 roku admirał Nelson prewencyjnie zniszczył na Bałtyku flotę duńsko-norweską, gdyż obawiał się, że posłuży ona do inwazji na Anglię, już dzień po tej bitwie osobiście był w Kopenhadze, aby czynić gesty osłabiające duńskie pragnienie odwetu, a nawet zaoferować Duńczykom zbrojną ochronę przed groźnym dla nich moskiewskim carem. Z kolei premier Churchill, kiedy w 1940 roku wydał rozkaz zatopienia całej floty francuskiej, stacjonującej w porcie w Oranie, bo zakładał, iż może ona być przejęta przez Niemców i użyta do inwazji na Anglię, natychmiast potem czynił rozliczne gesty sojusznicze wobec londyńskiego Komitetu Wolnych Francuzów de Gaulle'a, w efekcie czego Francja, która od 1940 roku była realnie częścią koalicji hitlerowskiej, zyskała paradoksalnie, dla zadośćuczynienia, status sojusznika antyhitlerowskiego. Zarówno Nelson, jak i Churchill nie mieli na oku ani zniszczenia Danii bądź Francji, ani ich upokorzenia. Wszczynali wojnę prewencyjną tylko po to, aby patrząc dalekosiężnie na możliwy rozwój zdarzeń, zabezpieczyć Wyspy Brytyjskie przed morską inwazją, albo próbami morskiej blokady.

Wszczynając wojnę z Persami premier Netanjahu przekonująco argumentował w przemówieniu do Żydów, że: „gdybyśmy teraz w końcu nie zaatakowali, to niedługo sami byśmy zginęli”. Ten argument ma faktyczne podstawy. Po zwycięstwie rewolucji w Syrii reżim perskich mułłów pozostaje na Bliskim i Środkowym Wschodzie

jedynym egzystencjalnym zagrożeniem dla państwowości żydowskiej, a jego czołowi politycy wielokrotnie deklarowali zamiar zniszczenia Izraela, jak tylko uda im się zbudować odpowiednią po temu broń. Przypuszczenie, że ajatollah Chamenei mógłby wydać w takich okolicznościach rozkaz całkowitego zniszczenia Izraela należy – niestety – do gatunku hipotez politycznie wyobraźalnych. Dlatego Izrael był w gruncie rzeczy skazany na to, aby wcześniej czy później wszcząć wojnę prewencyjną, z celem zablokowania perskiego planu budowy bomby atomowej. Ze słów samego Netanjahu wynika, iż w przeszłości już dwukrotnie był on gotów wydać rozkaz ataku prewencyjnego, ale powstrzymywał go brak zgody w izraelskim przywództwie politycznym i wojskowym. Teraz taką zgodę uzyskał. A nadto zyskał też kluczowy polityczny argument, gdy Persowie, chyba dość lekkomyślnie, zlekceważyli 60-dniowe ultimatum, jakie postawił im Trump na rezygnację z ich atomowego programu. Stało się jasne, że ukochana przez Trumpa droga twardych negocjacji i samego militarnego szantażu nie zmusi Iranu do wyrzeczenia się broni jądrowej. To był więc dobry moment na podjęcie działania.

Ale fakty tej wojny potwierdziły to, czego od początku należało się spodziewać. Absolutna przewaga militarna Żydów nad Persami wzbudziła respekt na całym Bliskim Wschodzie dla państwa żydowskiego, a zniszczenie infrastruktury militarnej i przemysłowej Iranu musi istotnie utrudnić i opóźnić perski program atomowy. Jednak go nie zlikwiduje. Żeby tak się stało armia izraelska musiałaby mieć zdolność przebicia się do podziemnych, dobrze umocnionych bunkrów produkcyjnych, w których Persowie trzymają materiał nuklearny (uran) oraz sprzęt pozwalający na przetwarzanie owego materiału w pociski jądrowe. Tej zdolności Izrael nie posiada. Co prawda, dzięki dociekliwemu szefowi Międzynarodowej Agencji Energii Jądrowej – Argentyńczykowi Rafaelowi Grossiemu, świat wie, gdzie dokładnie

Persowie gromadzą i przerabiają na broń materiał nuklearny: są to dwie podziemne bazy w pustynnym środkowym Iranie, w pobliżu świętego dla szyitów miasta Kom. Ale ta wiedza nie wystarczy. Znaczący spraw wojny mówią tu jednoznacznie (*relata refero*): trzydziestotysięcznofuntowe bomby burzące podziemne bunkry ponoć mają tylko Amerykanie.

No i tu tkwi istota rzeczy. To Donald Trump stoi w obliczu najpoważniejszego jak do tej pory dylematu swej drugiej prezydentury. Źródłem tego dylematu jest zasadnicze spłycenie i uproszczenie prawdziwego amerykańskiego kłopotu z wszelakimi wojnami, jakiego sam Trump dokonał w toku swoich wieloletnich kampanii propagandowych, które wyniosły go najpierw do roli lidera prawicy, a potem prezydenta USA. Z perspektywy najnowszej historii wojen, jakie prowadziła Ameryka, jasno widać, że Trump miał fundamentalną rację, mówiąc Amerykanom, że polityka interwencjonizmu, wspierana zwłaszcza przez neokonserwatystów (dziś nazywanych w ruchu MAGA „podżegaczami wojennymi”) nie przyniosła Ameryce globalnych politycznych sukcesów, a pośrednio, przyczyniając się do wielkiego długu USA, wpłynęła na pogorszenie życia przeciętnego Amerykanina. Tak działo się zwłaszcza tam, gdzie USArmy na skutek swej absolutnej przewagi najpierw odnosiła wielkie zwycięstwa, a potem polityka USA ponosiła równie wielkie porażki na skutek nieudolnego, albo w ogóle niemożliwego do przeprowadzenia procesu „state-building”, teraz obśmiewanego przez Trumpa. A na końcu armia musiała się wycofywać, często w atmosferze wojskowo-politycznej kompromitacji Ameryki.

Spłylenie i uproszczenie amerykańskiego kłopotu z wojnami polega na tym, że ten kiepski scenariusz sprawdza się w przypadku wojen „wyzwoleńczych” (np. Irak) albo „odwetowych” (np. Afganistan). Wojna prewencyjna jest zaś czymś kompletnie odmiennym. Nie wymaga bowiem od Ameryki ani przyjęcia roli „Boga” (nawiązując do niedawnej mowy Trumpa w Rijadzie), który osądza reżimy na całym świecie, po to, by decydować, które z nich należy obalić siłą zbrojną, ani kontynuacji skompromitowanej polityki „state-building”, zwłaszcza tam, gdzie lokalne kultury są sprzeczne z zachodnimi wyobrażeniami na temat natury państwa i demokracji. W zaangażowaniu Ameryki w wojnę prewencyjną idzie tylko o to, aby na jeden moment była ona gotowa użyć swojej unikalnej i niemożliwej do zastąpienia potęgi dla sparaliżowania agresywnych zamiarów nieprzyjawnego kraju wobec istotnego dla interesów amerykańskich państwa sojuszniczego. Uderzyć, sparaliżować możliwą inwazję, a całą resztę zostawić już do rozegrania lokalnemu układowi sił.

Powiem to mocno, może nawet z świadomą lekką przesadą: cywilizacja zachodnia nie przetrwa, jeśli amerykańska potęga wojskowa nie będzie wypełniać dwóch rodzajów misji. *Primo* – gwarantować pokoju zachodnim sojusznikom, poprzez szantaż użycia całej swojej mocy dla ich obrony w razie obcej inwazji (taka jest w pierwszym rzędzie funkcja NATO). A *secundo* – uderzać prewencyjnie tam, gdzie tylko Ameryka jest zdolna zapobiec hipotetycznej agresji wrogiego reżimu. Ten ostatni – to właśnie obecny przypadek Iranu i Izraela. Dylemat Trumpa polega na tym, że baza potężnego ruchu MAGA nie przejmuje się takimi politycznymi dystynkcjami i uważa, że każda interwencja zbrojna byłaby zdradą zobowiązań, jakie Trump czynił przez wiele lat. Stąd jak tylko pojawiły się sugestie, iż to Izrael wszcznie wojnę prewencyjną, w ruchu MAGA zaczął się głęboki ferment, zapowiadający wręcz

możliwość buntu politycznego zaplecza skierowanego przeciw prezydentowi. Ciekawą rzeczą jest przyglądanie się temu, co ostatnio dzieje się w licznych mediach ruchu MAGA: panuje tam niezwykle poruszenie i atmosfera nieufności wobec intencji prezydenta. Prosto i jasno ujmuje całą rzecz Charlie Kirk – dyrektor generalny Turning Point USA i jedna z kluczowych figur politycznego zaplecza Trumpa. Przestrzega: „Atak na Iran spowoduje głęboki rozłam ruchu MAGA”. Trump musi więc dokonać wyboru, który zdefiniuje jego dalszą prezydenturę. Albo będzie konsekwentnie „słuchać bazy”, której symplicystyczne rozumienie interesów Ameryki sam po części ukształtował, albo zrobi odważny krok, który wszakże wymagać będzie odeń przeformowania bazy, niczym plasteliny uległej dłoniom przywódcy.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Wszystkie felietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi”